NUMER 15. DNIA 22. KWIETNIA 1906 ROKU. ROK XIV.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Artur Grottger.

(1837—1867.)

Pokolenie dzisiejsze ma ułatwioną sposobność przeżycia jednego z fragmentów rozwoju polskiego malarstwa. Fragment to niemal z samego zaczątku istotnie narodowego malarstwa wyjęty. Bo Grottger jest tym, co rozbieżne od czasów saskich kierunki w polskiej sztuce w swej działalności jednoczy. Kierunki te były: 1) zainicjowane przez Norblina obserwowanie życia szlachty, mieszczan i wsi, życie czysto zewnętrzne, pełne miniaturowego ruchu i werwy, przedstawione zarazem z sarkazmem ironika — a w tymsamym duchu kontynuowane przez Orłowskiego, Oborskiego, Sokołowskiego, Suchodolskiego, Michałowskiego, Kossaka. U tych dwóch ostatnich patrzenie na rzecz i umiejętność co prawda, już się zmieniły — już to było objektywne przedstawianie rzeczy, czasami nawet, jak u Kossaka gloryfikujące i już się bardziej zapuściło, niż u tamtych, w przeszłość, w historję. Wszyscy oni jednak byli dyletantami i tylko różnica talentów sprawiła, że Michałowski i Kossak stworzyli dzieła, po wsze czasy cenne swą wartością malarską. Reprezentowali pierwiastek najbardziej samorodny, najbardziej szczery i dali to, z czego wyszli, co ich otaczało — życie szlacheckie, ginące w swej dawnej formie. To, co oni tworzyli, to charakteryzowało twórczość owej epoki i to wpływało na młode pokolenie. To też i Grottger w pierwszych latach krótkiej swej twórczości tymsamym oddaje się tematom i w podobnej przedstawia je formie. Maluje swój „Ekwipaż“, swą „Ułankę“, swe „Walki Francuzów z Beduinami“, „Bitwę pod Grochowem“, swych Czerkiesów, Tatarów, Pancernych, Szwedów — a zamiłowanie w tym temacie sięga aż do dwudziestego mniej więcej roku życia. Bo jeszcze i we Wiedniu, gdzie się znalazł pod wpływami z gruntu innymi, tworzy swą „Szkołę szlachcica polskiego“, „Pościg“, „Marjasz“ etc. Batalistyczny ton tedy, szlachecki kierunek rozwinął się w historyczny, który potem tak wielkiego nabrał znaczenia. Jak charakterystycznem dla całego tego kierunku, tak i dla Grottgera było to, że trzymał się techniki akwarelowej. Więc też w tym pierwszym pokoju obecnej wystawy, co obejmuje mniej więcej pierwszy okres twórczości Grottgera, widzimy prace przeważnie akwarelowe. Rysunek tam jest tak jeszcze niewyrobiony, dyletancki, jak u Suchodolskiego, Orłowskiego i i. Koń i człowiek dość szematyczny, ruchy często powtarzane te same. Lecz przedewszystkiem jest to czas wyrabiania się artysty, czas ogromnej uległości rozmaitym wpływom, czasy wprost jeszcze dziecinne, niesamodzielne. Jakkolwiek i tu można już dostrzedz na tych małych obrazkach rozwiązywanie rozmaitych problemów czysto malarskich, bardzo ważnych, a tylko szczerze, naiwnie, po prostu przedstawionych. I tak widać, jak go zajmują refleksy, rzucane od oświetlonej silnie ziemi na przedmioty na niej leżące, refleksy czerwonej chorągiewki na pancerz rycerski, sina perspektywa dali etc.

Ten satyryczny, karykaturalny, humorystyczny pierwiastek, jaki się wypowiedział w sztuce twórców owego kierunku, znalazł odbicie i w sztuce Grottgera. Takich rysunków więcej po nim zginęło, niż zostało, lecz i tych kilka, jak „Komedja w IV aktach“, „Sprawunki“, „Z miłosnych historji“ dają jego humorowi świadectwo.

Już z chwilą, kiedy stanął w Krakowie, bardziej zaś jeszcze od czasu przybycia do Wiednia znalazł się w zupełnie odmiennem artystycznem otoczeniu, uległ wpływowi innego kierunku. Zaczął nań działać 2) klasycyzm w temacie i formie, by się wreszcie skojarzyć z tematem fantastycznym i formą Schwinda — a w końcu tematem nawskróś narodowym i ogromnym sentymentem. Od chwili złączenia się wszystkich dotychczasowych pierwiastków, reprezentowanych przez rozmaitych polskich artystów,

w Grottgerze i Matejce i zmodyfikowania się ich wszystkich w obu wybitnych indywidualnościach istnieć poczęło malarstwo o cechach nawskróś własnych — i stąd, stojąc przed Grottgerem, stoimy zarazem przed początkiem nieprzerwanego już odtąd rozwoju istotnie polskiej sztuki.

I znów jest charakterystycznem, jak zmienia się niemal naraz jego upodobanie i jego technika od chwili, gdy przybył do Wiednia. Widać teraz ogromnie już wiele rysunków. A te rysunki wykonane są niezmiernie starannie, techniką kreskową, kreska koło kreski w rombową szachownicę ułożone. Zarazem zjawiać się zaczynają cykle, bądź to humorystyczne, jak „Miłosna historja", „Sprawunki", bądź pełne sentymentu, jak tryptyk, ilustrujący szyllerowski wiersz „würde der Frauen". Wogóle przycicha teraz fantazja żołnierska, a zjawia się sentyment łatwo kochliwego młodzieńca; zjawiają się niezliczone główki dziewcząt, bądź ołówkiem, bądź akwarelą przedstawione. W miejsce dawnej werwy wychodzi pewna siebie akuratność, drobiazgowość, delikatność i bladość modelacji, charakterystycznem się staje zamiłowanie niebieskiego, błękitnego tonu i owalnego kształtu obrazu. Jak wogóle Schwind, tak i Grottger w tej swej epoce uległości sztuce Schwinda staje się jakiś rokokowy.

Zarazem umacnia się w nim zamiłowanie historycznego tematu. Jakby w nim wszystko fermentowało: maluje życie szlacheckie, karykatury, sentymentalne, fantastyczne sceny à la Schwind, wcale realistyczne portrety, sceny historyczne, jak: Zygmunt August i Barbara, Ucieczka Henryka Walezego, Modlitwa Konfederatów etc. Tworzy pod wrażeniem chwili, lecz ani malarza w nim, ani człowieka nie zajmuje żadna idea, któraby jego twórczość wybitnie charakteryzowała. Zwrotu tego w nim dokonają dopiero wypadki 1861 roku. Teraz — lat ma około 20, arystokratyczne znajomości i protektorów, zawsze mało pieniędzy, długi i miłostki, bądź lekko, bądź serjo brane, ogromnie wiele dobroci, serdeczności i przyjaźni. Dzięki uprzejmości artysty-malarza pana Karola Maszkowskiego, któremu za to na tem miejscu składam wyraz wdzięczności, przytoczyć tu mogę charakterystyczny ustęp z listu Grottgera do malarza Marcelego Maszkowskiego:

„Ty stary — wir sind für uns die Alten!

Umiesz kochać, umiesz być przyjacielem, umiesz się z takim obchodzić, bo go szanujesz (mówię to dlatego, bo ja także bardzo często przekraczałem prawa przyjaźni, co nie było przyczyną, że nie umiałem kochać albo nie kochałem, ale skutkiem mej popędliwości, co niestety po moim ojcu już odziedziczyłem, w jednej chwili byłem czasem taki oburzony, że się trząsłem od złości, i wszystko byłem w stanie powiedzieć i zrobić i po jednej chwili zastanowienia przychodziłem do siebie i żałowałem).

Otóż my starzy moglibyśmy się porachować także ze sobą za te pewne frazy, które Pan Dobrodziej ze swej strony do mnie adresował, ale o tem potem! — Dzisiaj „bleibt es beim Alten".

Moi kochani, jak mi przykro, że więcej nie mogę się wystarać, ale zdaje mi się, że więcej jak 10 fl. tymczasem nie będę się mógł wystarać. My teraz z bratem także chudo żyjemy, bo percepty żadnej a expens zawsze dubeltowa. — Ale nam tu przecież łatwiej, bo ja już mam takie piękne lichwiarskie konesansy, które mnie z głodu umrzeć nie dadzą. Wczoraj dostałem list od Kubcia, gdzie mnie się pyta, za wiele skrzypce zastawione, ażeby mógł przysłać pieniądze na ich wykupienie. — W tym miesiącu przyjeżdża matka moja ze siostrą do Wiednia i ja mam ich... Wyobraź sobie — o zgrozo! — „das wird eine Tur!", jak nasi mówią. Ja się cieszę bardzo na to! — Śmieję się, ale spazmowym śmiechem! — Teraz przestaję na chwilę, bo idziemy z bratem pumpować! Do widzenia za godzinę, bogdajby było miłe!

Na wszystkie boki przez dwa dni już się kręciłem, ale ciągle mnie za durnia brali, dziś dopiero po obiedzie mam dostać z pewnością 10 fl. — a że mój brat w tej chwili gażę odebrał, więc mi do trzeciej zakredytuje, a ja jeszcze przed 12-tą odsyłam. Bywajcie mi zdrowi biedaki, całuję Was po miljon razy. Jak nie będziecie mieli, to napiszcie znowu, a ja może się o parę fl. zawsze wystaram. To nieszczęście, że niema nigdy zaraz, tylko trzeba dopiero czekać.

Całuję Was, niech Was Pan Boży zachowa

13/9 1859. Wasz Arthur.

(Dok. nast.)

Marjan Olszewski.

JÓZEF JEDLICZ.

Chłopi emigranci.

Obcą ziemią, o zmroku, w tęsknicy i smutku,
Omijając kordonów latarnie i straże —
Wśród szarych mgieł, jak widma, chyłkiem, po-
[malutku,
Płyną błędne, marzące chłopów polskich twarze —

Obcą ziemią, o zmroku, w tęsknicy i smutku...

Tam, gdzieś w dali tajemnej, śpiewa groźne morze,
Tam, za morzem, tam szumią im pienia psze-
[niczne...
Hen — za nimi wieś polska szumi o wieczorze
I nad borem już gasną w mgłach zorze prze-
[śliczne...

A tam, w dali tajemnej śpiewa groźne morze —

Ach, wyrwali się z objęć twardej matki-nędzy,
Wyzwolili się z nizin głodu, jak z niewoli —
Za morzem tyle woli i złotych pieniędzy!
Ino w sercu żal krwawy, żal krwawy, coś boli...

Ach, wyrwali się z objęć twardej matki-nędzy!...

Czasem wicher przywieje słodką myśl o dzieciach,
I taki żal nieludzki obejmie człowieka,
Że jak pies błądzi w mroku, od ludzi ucieka,
W niemej, ciężkiej boleści: skonać na swych
[śmieciach!...

Czasem wicher przywieje słodką myśl o dzieciach —

— — — — — — — — — — —

A w onym żalu krwawym już się nie obaczą.
Bo nie śmiać się ich duszom, gdy raz się
[zasmucą
Aż kiedyś, pośród obcych, chyląc twarz, zapłaczą,
W ciszy skrycie zapłaczą gorzko i — powrócą...

Bo w onym żalu krwawym już się nie obaczą —

Lwów na początku XIX. w.

III. Teatr.

Było to za czasów, kiedy Lwów nie miał jeszcze komisji artystycznej, krytyków teatralnych ani publiczności doznającej w każdej kwestji teatralnej nerwowego podniecienia. Jakoś w kilkanaście lat po zaborze zaproponował rząd austrjacki lwowskiemu magistratowi, wybudowanie teatru, przeważnie z funduszów rządowych. Magistrat dał wówczas bardzo wymijającą odpowiedź, z której wynikało, że współówczesne sfery miarodajne miejskie rade by wcale teatru nie widziały.

Z takich to sielankowych czasów pochodzi nasza rycina dzisiejsza, czwarta z rzędu, ilustrująca życie lwowskie z początku ubiegłego stulecia. Bo ostatecznie rząd przeforsował kwestję teatru we Lwowie. Dyrektor i przedsiębiorca niemieckiego teatru Henryk Bulla, który koczował razem ze swojem ogniskiem cywilizacji w drewnianej budzie za furtą jezuicką, miał wielkich protektorów między radcami gubernjalnymi i za ich wpływem nabył stary kościół pofranciszkański przy dzisiejszej ulicy teatralnej na teatr. Przeróbka dokonaną została bardzo niedbale, do tego stopnia, że pozostawiono nietkniętą kryptę kościelną, razem z grobami, która w r. 1796 zawaliła się i ku ogólnemu zgorszeniu wykazała, że podkasanej muzie nic to nie zaszkodzi, jeżeli nawet na grobach zatańczy.

W ten sposób, z kościoła, przerobiony budynek teatralny służył sztuce dramatycznej aż do roku 1842, to jest do wybudowania teatru skarbkowskiego. Jak widać na rycinie, wnętrze jego przedstawiało się nieźle, chociaż olej kapiący z żyrandolów niejednokrotnie dawał się we znaki audytorjum parterowemu, a zwłaszcza toaletom pań. W ogóle liczył ów teatr 35 lóż w parterze, na pierwszem i drugiem piętrze, sto czterdzieści krzeseł numerowanych, oraz po dwieście miejsc stojących w parterze i na galerji. Ciasnota, brak odpowiedniego lokalu na garderoby, zimno przenikliwe w zimowych miesiącach, wszystko to składało się na całość, która o nadzwyczajnej znowu dbałości o lokal Melpomeny nie świadczyła.

Mimo to i mimo, że w budynku owym rozsiadła się głównie sztuka niemiecka, „stary“ teatr, jak nazywano go po wybudowaniu przez hr. Skarbka teatru „nowego“ zapisał się złotemi głoskami w dziejach wogóle teatru polskiego. Tutaj gościł w latach 1795—1799 Wojciech Bogusławski, tu od r. 1809 Jan Nepomucen Kamiński przez długie lata honor polskiej sztuki dramatycznej na swoich barkach dźwigał i uczył ze sceny patrjotyzmu całe pokolenia, którym groził zalew germanizacji.

F. J.

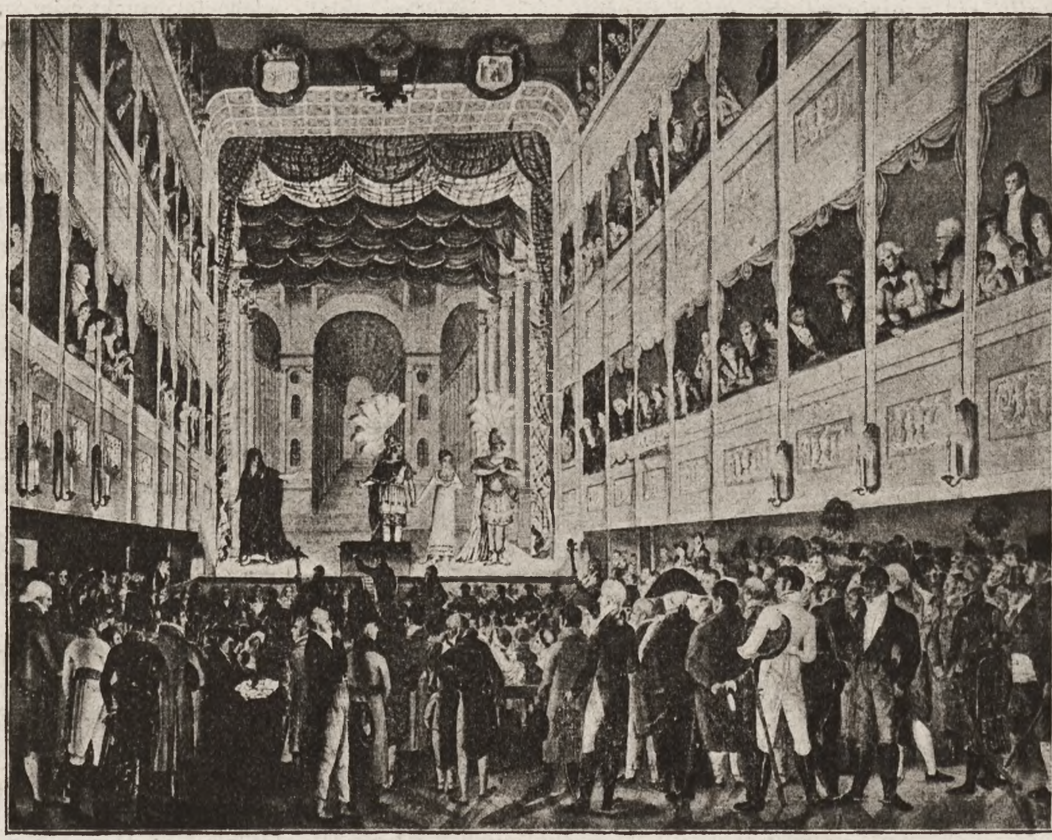
Męczennicy z Manczestru.

Ustęp z dziejów fenianizmu w Irlandji.

I.

Rok 1847-8 był strasznym dla Irlandji rokiem. Ten rok czerwony dla całej Europy, rok walki o wolność, rok wschodzącej zorzy swobody był dla Irlandji rokiem kiru żałobnego po strasznej klęsce głodowej, rokiem tak czarnym, że dusze znękane morzem nędzy nie miały nawet sił dostatecznych, wyspy zielonej ocalić choć życie i wykarmić nienawiść przeciw ciemiężycielom kraju.

W 1852. roku, po czterech latach jęków i łez, niedobitki ruchliwego pokolenia z 1848 roku opamiętały się i słowem oraz czynem poczęły nawoływać lud do pracy i do organizacji. Powstała wtedy „liga dzierżawców.“ Nazywano tę ligę także związkiem „północy i południa“, bo dzierżawcy protestanccy podali rękę wywłaszczonym katolikom, by wspólnymi siłami iść przeciw landlordom i parlamentowi w Londynie.



Do artykułu „Lwów na początku XIX. w.“: WNĘTRZE TEATRU WE LWOWIE W R. 1806.
Ze zbiorów bibljoteki im. Baworowskich.

by stanąć do walki ze złem. Od lat przygotowany i organizowany ruch irlandzki w 1848. roku został do szczętu zgnieciony po niefortunnej półgodzinnej potyczce z patrolem policyjnym. Całe pokolenie, „młodą Irlandją“ zwane, jęczało w więzieniach lub tułało się na emigracji w Ameryce. Masy ludowe, znękane nędzą, wciąż prześladowane widmem śmierci głodowej, tłumnie rzuciły się do emigracji. Przeszło miljon ludzi zginęło śmiercią haniebną od niedostatecznego pożywienia; setki tysięcy konały w szpitalach i domach przytułku. Ruchliwsze i silniejsze żywioły uchwyciły za kij żebraczy, by zdala od

Było to zmartwychwstanie kraju. Na grobach miljona ofiar głodu ukazała się nowa zieleń, nowa nadzieja odrodzenia. W Anglji wiadomość o lidze dzierżawców raziła sfery rządzące jak piorunem; Londyn ucisku, Londyn rządowy łudził się, że śmierć głodowa rozwiązała kwestję irlandzką. Tymczasem Erin odżył i co ważniejsza, protestanci i katolicy szli ręka w rękę, jak za dawnych dobrych czasów z r. 1798 roku, kiedy „Zjednoczeni Irlandczycy“ walczyli o swobody swego kraju.

A ruch nowy w Irlandji narodził się pod dobrą gwiazdą. W całej Europie drzewo wolności puszczało

nowe liście: kwestja narodowościowa miała być rozwiązana w duchu wolnościowym we Włoszech. Rozlegały się wszędzie głosy, iż każdy naród ma niezaprzeczone do swobody prawo. Nawet rządowa prasa angielska występowała w obronie Włoch rewolucyjnych. „Ludy — mówiła gazeta „Times“ — mają prawo do zrzucania jarzma... Każdy naród ma prawo rządzenia się według swych ideałów“.

Cóż więc mogła Anglja odpowiedzieć na żądania Irlandczyków, domagających się prawa do ziemi ojczystej, zagrabionej przez landlordów i prawa do samoistnych a wolnych rządów? Rząd angielski czuł dwuznaczność swego położenia: nie mógł on z jednej strony bronić wyzwo'enia Włoch, a z drugiej ciemiężyć Irlandji. By więc uratować choć pozory, rząd angielski uciekł się do dwóch środków, mających na celu skompromitowanie ruchu irlandzkiego.

Przedewszystkiem protestancki rząd angielski nawiązał stosunki z wyższem duchowieństwem katolickiem w Irlandji, obiecując różne ustępstwa dla stolicy apostolskiej, jeżeli tylko księża irlandzcy wystąpią przeciw ruchowi dzierżawców irlandzkich. I rząd znalazł niejednego wysokiego dostojnika kościelnego, gotowego dla władzy i przywilejów zdradzić sprawę narodową i ludową. Biskupi wszakże mieli wiele trudności z ubogimi proboszczami, z niższym klerem. Księża, którzy żyli z ludem i pochodzili z ludu, nie mogli z czystem sumieniem potępić ruchu, który był tylko głosem duszy, łaknącej sprawiedliwości. Zamysły więc rządu angielskiego napotkały na opór części duchowieństwa. Ten to opór osłabić miała na celu druga intryga rządowa, dążąca do zupełnego zdemoralizowania ruchu irlandzkiego.

Na czele ruchu stanęli dwaj awanturnicy, Keogh i Sadler, którzy gromkiemi manifestacjami zjednali sobie popularność wśród mas ludowych. Obaj ci panowie, przekupieni przez rząd obietnicą wysokich i dobrze płatnych urzędów, zaczęli przedewszystkiem gorliwością religijną zniechęcać do ligi żywioły protestanckie. Naprożno uczciwi ludzie w partji zwracali uwagę na szkodliwość fanatyzmu religijnego: popularni zdrajcy, poparci przez duchowieństwo, zwyciężyli. Powoli najlepsze i postępowe siły ligi wycofały się z ruchu, spaczonego fanatyzmem i bezrozumem. Taki Gavan Duffy naprzykład, jakkolwiek katolik, ze złamanem sercem porzucił nawet kraj rodzinny i udał się do Australji, gdzie go, wskutek wielkich zdolności politycznych, wybrano wkrótce na naczelnika rządu. Przerzedzały się szeregi ligi, aż wszystko poszło w rozsypkę. Kraj popadł w letarg, z którego obudziły go dopiero usiłowania emigrantów irlandzkich, osiadłych w Ameryce.

Tam w Stanach Zjednoczonych znaleźli się wszyscy ci, którzy ocaleli po pogromie 1848 roku. Tam także zgromadziły się setki tysięcy emigrantów, których głód i bezrząd angielski wypędził z kraju. W Ameryce zaś wybuchła wtedy wojna domowa o zniesienie niewolnictwa murzynów w południowych stanach kraju. Irlandczycy stanęli po stronie swobody: energiczniejsze jednostki wzięły udział w walce i doszły do wysokich stanowisk w armji Stanów północnych.

Ożywieni walką o prawa człowieka, natchnieni ideją wolności, za którą krew swą przelewali w kraju przybranym, Irlandczycy ci postanowili zwrócić teraz swe usiłowania ku wyzwoleniu swej prawdziwej ojczyzny nieszczęśliwej.

Walka w Irlandji była dotychczas przeważnie walką konstytucyjną, toczącą się w granicach, zakreślonych, przez prawo. Zarówno O'Connell jak i organizatorzy ligi dzierżawców tylko o takiej marzyli walce. Ale na początku siódmego lat dziesiątka rząd angielski skompromitował ruch konstytucyjny. Zachowanie się biskupów, poduszczonych przez rząd protestancki, zdrada haniebna Keogha i Sadlera podkopały wiarę w możność prowadzenia skutecznego walki na drodze konstytucyjnej i w szrankach legalnych. Pozostaje więc ruch tajny, konspiracyjny, zdążający do wywołania zbrojnego przeciw Anglji powstania. Był to ruch feniański — w którym, jak to zobaczymy, „męczennicy z Manczestru“ odegrali bodaj czy nie najświetniejszą rolę.

S. M.

Z ZA KRATY.

LUŹNE KARTKI.

(Ciąg dalszy.)

Po przyjściu wezwanego urzędnika, rotmistrz wezwał mię do swego gabinetu i tu po zadaniu mi rozlicznych pytań, spisaniu protokołu, podano mi papier, w którym napisane było, że skutkiem wzmożonej ochrony postanawia rotmistrz Zielonko, bym była zamkniętą w więzieniu w P. i że powyższą wiadomość, jako sobie zakomunikowaną, podpisuję.

Zapytałam, kiedy tam będę wysłaną.

— Pociąg odchodzi za pół godziny, odrzekł rotmistrz.

— Czy nie mogłabym pozostać przez noc w Sosnowcu — zapytałam — przenocować w hotelu, wszak mógłby pan postawić straż przy drzwiach.

Odpowiedziano mi, że żądam rzeczy niemożebnej i za chwilę byłam w drodze do dworca; odwoził mię ohydny wachmistrz oraz jeden z żandarmów.

Schodząc ze schodów spostrzegłam, iż padał deszcz i błoto jest na dworze, dorożki żadnej, zwróciłam się więc do wachmistrza prosząc, by polecił zawołać dorożkę i zapłacił moimi pieniądzmi.

W odpowiedzi usłyszałam obelgę, nie omyliło mię przeczucie, ten człowiek mógł być tylko oprawcą.

Do kolei był spory kawał, rotmistrz wysyłając ze mną wachmistrza polecił mu, by na dworcu, o ile zażądam, podaną mi była kolacja i herbata, ten więc w drodze zwrócił się do mnie i brutalnie rzekł po rosyjsku:

Jeżeli chcecie pić herbatę to idźcie prędzej inaczej spóźnimy się na pociąg.

Nie odpowiedziałam ani słowa, lecz szłam równie wolno, cóż mię obchodził pociąg.

Nie spóźniliśmy się jednak, czekałam jeszcze w brudnej izbie, tak brudnej, iż niechciałam pić herbaty i o 5 rano stanęliśmy w P.

Nie wiedziałam jak daleko z kolei do więzienia, ale wołałam o dorożkę, były to ostatnie chwile swobody, któż wie kiedy będę mogła wyjść odetchnąć świeżem powietrzem, szłam więc możliwie najwolniej. Żandarm porwał mój kuferek i poszedł prędko naprzód, wachmistrz szedł prędko tuż za mną, mrucząc, iż idę za wolno, nie zwracałam na niego najmniejszej uwagi. Noc była cicha i jasna, chmury znikły z widnokręgu i księżyc rzucał jasny blask wokoło, miasto P. nieoświetlone niczem spało w głębokiej ciszy. Żaden hałas, żaden turkot nie mącił snu mieszkańców.

Idący przodem żandarm rozbudził straż więzienną i gdy stanęłam przed więzieniem drzwi jego otwarte już były. Za chwilę zaskrzypiały wrzeciądze, zabrzęczały klucze i byłam już po za światem.

Chwila oczekiwania w kancelarji; posłano po dyżurnego urzędnika, któremu moja osoba ma być powierzoną. Słaby blask małej lampki rozświetla ciemność długiego wąskiego pokoju. Siedzę przy dużem biurku, zarzuconem stosem papierów, z boku pod ścianą stoi ogromna skrzynia, z drugiej strony szafa, dalej w głębi drzwi szklane, wiodące do przedpokoju, o ile mogę sądzić, dalej nic odróżnić nie mogę. Moi stróże rozmawiają z miejscowym strażnikiem.

Kto przyjdzie? pytają.

Gruby — brzmi odpowiedź!

Byle chciał nas prędko załatwić, chcielibyśmy wrócić pierwszym pociągiem.

O niema obawy, on jest prędki, spać mu się będzie chciało, to i was prędziutko załatwi i pójdzie sam, odpowiada ze śmiechem strażnik.

Wszedł gruby, zupełnie słusznie tak nazwany, cywilnie ubrany jegomość lat około pięćdziesięciu; jego rozlane oblicze miało łagodno-senny wyraz, oczy zdawały się jeszcze tonąć w śnie, tak były zakryte tłuszczem. Skinął głową ku mnie i usiadł naprzeciw w fotelu przy biurku.

Przejrzał podany sobie papier, podpisał i za chwilę wachmistrz i jego towarzysz odeszli.

Ma pani jakie klejnoty przy sobie? zapytał.

Żadnych, odrzekłam.

A zegarek?

Mam, ale prosiłabym pana o pozostawienie mi go, jeśli naturalnie to jest możebnem.

Właściwie nie, odrzekł, ale niech go tam pani zatrzyma, odrzekł po chwili namysłu. Rozmawialiśmy po polsku; już w Granicy i Sosnowcu powiedziałam, iż nie znam języka urzędowego, tam jednak mówiono do mnie łamaną ruszczyzną, tu wiedziałam, iż gruby jest polakiem.

Jakie numera mamy jeszcze wolne? spytał po rosyjsku strażnika.

42. i 10. — brzmiała odpowiedź.

42. będzie lepszym, gdyż jest na górze, nie będzie tak chłodnym, tam zaprowadźcie, strażnikowi powiedzieć, iżby na spacer nie wypuszczał, do przyjścia dozorczyni.

Strażnik się skłonił, powstałam.

Czy mogę wziąć moje rzeczy? zapytałam.

Kuferek musi tu pozostać, aż dozorczyni go przejrzy, odpowiedział gruby, może pani wziąć jednak pościel.

— Nie miałam żadnej, wzięłam tylko ręcznik i grzebień. —

Zaprowadzono mnie do drugiego gmachu i tam na drugiem piętrze drzwi Nr. 42 zawarły przedemną świat. Byłam w grobie za życia.

— Przez umieszczone wysoko, pod sufitem niemal, okratowane okno, widać było pierwsze blaski świtu, w celi był półmrok i można było rozejrzeć przedmioty; zawiesiłam futro na wieszakach i przeszłam się po celi. Była długa i wąska, za całe umeblowanie służył stół, malowany na ciemno i przytwierdzony do ściany, stołek przykuty łańcuchem do

niego, przy drzwiach umywalnia rodzaj szafki nocnej, też przytwierdzona do ściany, na niej miednica i dzbanek obok kubek emaljowany do wody, na stole stała blaszana wazka z nakryciem i leżała drewniana łyżka. W jednym rogu celi, stał oparty o ścianę materac i poduszka, wszystko napchane słomą. Byłam tak znużoną, iż wiele bym dała za możność wyciągnięcia się, ale w celi nie było ani łóżka ani tapczanu. Za to przy umywalni stał drugi stołek, na szczęście nieprzykuty łańcuchem. Zestawiłam więc oba stołki owinęłam się futrem, gdyż zimno było przenikliwe i położyłam się skulona.

Za chwilę usłyszałam jakąś kołatkę na podwórzu, potem otwieranie zamków i drzwi na korytarzu, zgrzyt klucza w moim zamku, usłyszałam jak ktoś otworzył drzwi, stanął w nich i patrzał na mnie. Nie podniosłam jednak wcale głowy, było mi obojętnem, kto wchodzi i poco.

30. Marca. Leżałam tak skulona do ósmej. Znowu zazgrzytał klucz i posłyszałam głos dźwięczny kobiecy.

— Pani wybaczy, jestem dozorczynią i jako taka muszę zrobić u pani rewizję.

Podniosłam głowę i przesunęłam ręką po oczach.

O proszę niechże pani nie płacze! — zawołała znowu dozorczyni.

Roześmiałam się głośno i spojrzałam na nią.

— Czy widzi pani łzy w moich oczach? zapytałam. Pocóż miałabym płakać? mam tylko piasek w oczach. Czy ta ceremonja jest niezbędną? dodałam.

Dozorczyni również zaśmiała się ,,obowiązaną jestem zrobić ją“ i mówiąc to możliwie najdelikatniej dotknęła mojego ubrania; rzeczywiście robiła to tylko z obowiązku i tak delikatnie, iż nie dotknęłoby to najbardziej subtelnej mimozy.

Powierzchowność jej ujęła mię odrazu. Wysoka, silnie zbudowana, brunetka, lat 28 najwyżej, miała ładne żywe oczy i miły uśmiech, uwydatniający białe równe zęby.

— Czy mogłabym dostać szklankę herbaty? Pieniądze moje są w kancelarji, możeby więc pani zechciała kazać mi przynieść.

— Dobrze! rzekła. Za chwilę będzie pani miała. Odeszła, ja zaś pomyślałam o mej toalecie.

Strażnik przyniósł mi wody. Umyłam się i uczesałam, podczas tego wróciła dozorczyni niosąc mi herbatę.

— Dziś, rzekła przyjmie pani herbatę odemnie, potem przyjdzie tu starszy dozorca więzienny i pani da mu kartkę z żądaniem wszystkiego co pani potrzeba! — To się kupi!

Została chwilkę w celi. Rozmówiłyśmy się ze sobą. Prosiłam ją, by mi kupiła niektóre niezbędne rzeczy z bielizny, a przedewszystkiem duży szal. Powiedziała mi też, że jest więzienna bibljoteka i że mogę zaraz zażądać książek.

O dziesiątej zaprowadzono mię do kancelarji więziennej, gdzie spisano moje pochodzenie i rysopis. Ogromnie głupie wydały mi się wszelkie pytania. Gdy p. sekretarz z wielce poważną miną pytał mię: jakie ma pani ręce, miałam chęć odpowiedzieć:

— O panie, mam bardzo ładne, klasyczne iście ręce!

Nie powiedziałam jednak tego, tylko wysunęłam rękę z futra i, pokazując ją, rzekłam z uśmiechem:

— Może pan zechce zobaczyć!

Badawczo patrzał dłuższą chwilę, jakby szukając co najmniej szóstego palca i w końcu rzekł:

— Żadnych osobliwych znaków niema! Wszak prawda?

Wzruszyłam ramionami i badanie było skończone.

Wróciłam do celi, dokąd odniesiono mi mój kuferek. Korzystając z mej nieobecności strażnik zajrzał do mej zgrabnej torebki i zabrał ładny, oprawny w perłową masę scyzoryk. Powiedział mi sam o tem, dodając, iż dozorcy wolno to zrobić, gdyż ostrych narzędzi nie zostawia się więźniom.

Odpowiedziałam, iż dozorczyni zostawiła mi tylko czasowo scyzoryk na mą usilną prośbę i prosiłam, by mi go oddał a niedługo mu go zwrócę. Mówiłam, że wcale nie mam ani usposobienia ani zamiaru do samobójstwa, ale twierdził, iż go już odniósł do kancelarji i że tam złożył, ofiarował natomiast swój, jeśli mi jest potrzebnym.

Scyzoryk wcale nie był oddany do kancelarji. Strażnik na wstępie okradł mię, bo inaczej nie byłby odpowiednim urzędnikiem wielkiego cesarstwa.

Przyniesiono mi śniadanie, krupnik jęczmienny, jakiś tłuszcz pływał po wodzie. Ale nie wiem, co to było, gdyż nietknęłam go. Zapach dziwnie mdły zrobił to, iż prosiłam, by go zaraz wyniesiono; porcja była spora, kwartowa miska blaszana, do tego ćwierć bochenka czarnego chleba.

(C. d. n.)

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA

Wilhelm Blos „Rewolucja francuska". Przekład z upoważnienia autora. Z II-go wydania niemieckiego, w dwóch tomach. Kraków. Spółka nakładowa „Książka".

W zakończeniu podaje autor te słowa: „Pewien wybitny historyk powiedział gdzieś, iż mamienie ludu romantyką rewolucyjną, jest taką samą zbrodnią, jak zaopatrywanie marynarza w fałszywe mapy". Zdanie co najmniej zwietrzałe, dobre za czasów Micheleta, lecz teraz, po Taine'ie, Sorelu, Aulardzie i tylu innych, zanadto anachronistyczne, jabym wzamian powiedział, że zbrodnią jest karmić lud tendencjami przybranemi w szaty historyczne. — Bo autor niestety w tem dziele jest tendencyjny, i to w kierunku niezbyt sympatycznym, bo jakobińskim, i skrajnie rewolucyjnym. To też w przedstawieniu poszczególnych faktów, nie żałuje czarnych barw dworowi i wogóle wszelkim przeciwnikom jakobinów, czyny zaś tej partji, choćby najdziksze, jeżeli nie może przedstawić w jakimś romantycznym opisie, to przynajmniej stara się je uniewinnić.

Z tego pierwszego zarzutu tendencyjności wypływa drugi: jednostronności, bo autor obrawszy sobie z góry ten a nie inny kąt widzenia, wszystkie wypadki przymierza do niego, a że ten kąt jest niewielki, więc też i przedstawienie tych wypadków jest kuse i bez szerszego poglądu.

Autor wprawdzie starał się czasami liczyć z warunkami ekonomicznymi, lecz ta jednostronność doprowadza go n. p. do takiego sądu (t. I str. 292.) „Dwa mocarstwa napoleońskie — oto owoc systemu drobnych parcel gruntowych".

Dodać tu trzeba, że na właścicielach tych parcel, t. j. przeważnie włościanach „używa sobie" autor w obu tomach, odsądzając ich od jakichkolwiekbądź idealniejszych porywów ponad chęć posiadania kawałka ziemi, jakby n. p. te żakerje, te walki w Wandei, a potem te armje napoleońskie nie lały krwi chłopskiej i to tak obficie.

Za to według autora największą działalność rozwinęła w kierunku zmiany ustroju państwowego klasa robotnicza, — która też dostarczała największego i jedynego prawie kontyngensu Jakóbinom i komunie.

Śledząc dalej za sympatjami autora, widzimy, że jest szczególnym zwolennikiem wszelkich ruchów destrukcyjnych, wszelkich czynów negacji, bo z przyjemnością kreśli działalność konwentu, i wogóle walkę z dawnym porządkiem rzeczy, lecz z chwilą, gdy z daleka choć jeszcze słabo poczyna się zarysowywać konstrukcja nowego gmachu państwowego, od chwili nawet gdy Robespierre zaczyna chwytać władzę, sympatja jaką otaczał autor Robespierra odwraca się nagle od niego i od działalności konwentu w dalszym ciągu.

To też te sympatje odbiły się w dziele w sposób bardziej dotykalny: tom I. obejmujący początki rewolucji do upadku Robespierra jest bardziej ożywionym, podczas gdy tom II-gi zawierający dobę tworzenia się nowego organizmu, a więc dobę dla autora niezbyt sympatyczną jest bardziej suchy i nie budzi nawet poglądami autora, których tu jest dość mało, większego zainteresowania.

Dzieło nie przynosi wielkiego pożytku czytelnikowi, to też dziwimy się, że przyswojono językowi naszemu tę książkę, która ani głębokością sądu, ani gruntownem i bezstronnem przedstawieniem nie wybija się na pierwszy plan, zwłaszcza, że są inne, bardziej tego godne, jak n. p. Aulard: „Histoire politique de la Révolution française", także w podobnym duchu napisana, lecz o wiele gruntowniejsza i głębsza.

Tłumaczenie też nie jest wyborne, często n. p. powtarza się błąd: spodziewać się na coś.

Bronisław Pawłowski.

ZAPISKI.

Mapa Galicji. Nakładem księgarni B. Połonieckiego wyszło obecnie drugie wydanie mapy Galicji podług zarysu Herricha uzupełnionego przez p. Fr. Barańskiego, a przejrzanego przez p. Wilhelma Pokornego, asystenta prof. Rehmana. O żmudnej pracy i dokładności autorów świadczyła okoliczność, że na mapie tej nie braknie ani jednej miejscowości galicyjskiej, a wszystkie podane są w brzmieniu urzędowem, spolszczone bez żadnego błędu i według najnowszej ustalonej pisowni. Wydanie to jest kolorowane a uwzględnia wszystkie środki komunikacyjne aż do końca roku 1905. Podziałka mapy wynosi 1:600.000.

Pamiątki Matejkowskie. Trzeci oddział Muzeum narodowego, Dom Jana Matejki przy ul. Florjańskiej w Krakowie, otrzymał w ostatnich czasach w darze kilka listów Matejki. Jedne z nich, mianowicie trzy listy do Wojciecha Kornelego Stattlera, zostały złożone na razie jako depozyt przez p. Cecylję Stattlerową z Warszawy. Są to cenne dokumenty, ponieważ rzucają zgoła inne światło na stosunek Matejki do profesora, niż go dotychczas przedstawiały krążące z ust do ust wersje. Dwa inne listy, jeden z r. 1875, drugi z r. 1888, pochodzą ze spuścizny po ś. p. Henryku Gropplerze z Konstantynopola, ciotecznym bracie mistrza. Do zbiorów Domu Matejki ofiarowała je zamieszkała w Kielcach p. Stefanja Jarońska.

W rękach bardzo wielu jeszcze osób znajdują się zapewne listy i korespondencje Matejki, będące pierwszorzędnym materjałem dla historyków sztuki i biografów wielkiego malarza. Rzecz prosta, że cała ta korespondencja powinna jak najrychlej znaleźć się w Muzeum Narodowem, w którego statucie i programie leżą wydawnictwa, związane z historją sztuki i kultury. W miarę zebranego materjału przystąpiłoby Muzeum do opublikowania korespondencyj genialnego malarza i w tym celu zwraca się z prośbą do wszystkich osób o pomoc w tej mie ze; mianowicie, by wszystkie listy i „szpargały" po Matejce lub przynajmniej wierne ich odpisy nadsyłano do zbiorów Muzeum Narodowego, względnie Domu Matejki w Krakowie.

Drukiem W. A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika 5.